

Zdzisław M. Rurarz
[Niewydane pamiętniki]

Rozdział IX

13 stycznia 2006 r.

Dziś Ewa kończy 50 lat... Nie do wiary! Nam z Niunią wydaje się, że przyszła na świat dopiero wczoraj, a tu nieubłagany kalendarz mówi nam co innego! Ewa urodziła się z fasonem, to znaczy 13-go i na dodatek w piątek, dni powszechnie uważane za feralne, co omal nie okazało się prawdą ze względu na skomplikowany poród.

A przecież ja, potencjalny ojciec, w prawie przez cztery miesiące po ślubie nie miałem żadnego zatrudnienia i siedziałem w Końskich u rodziców Niuni. Ona z kolei, niedoszła matka, zaczęła już pracować jako świeżo upieczony stomatolog, ale przecież było to zajęcie tylko czasowe. Stałe bowiem - jak to wyobrażaliśmy sobie - miało być przecież w Warszawie. Tam przecież miałem pracować. Nie pracowałem jednak i to nie z własnej winy. Nie pracując w Warszawie nie mogłem nawet marzyć o otrzymaniu tam mieszkania, a podjęcie pracy w Końskich nawet mi przez głowę nie przechodziło.

Tym niemniej, oboje byliśmy dobrej myśli, wierząc święcie, że „jakoś tam będzie”. Ludzie młodzi są z natury optymistami, a w „socjalistycznej Polsce” byliśmy nimi podwójnie. Państwo przecież miało troszczyć się o naszą przyszłość! I gorzej lub lepiej państwo, jak sami to widzieliśmy na własne oczy, dawało sobie jakoś z tym radę. A więc nie ma się o co martwić! Taki czy inny byt mamy przez państwo zapewniony, a co będzie dalej - zobaczymy.

Po powrocie z Korei w kwietniu 1954 r. i po napisaniu zaległej pracy dyplomowej i sfinalizowaniu latem studiów I stopnia, formalnie miałem podstawę do podjęcia pracy zawodowej. Ze względu na obowiązujący wtedy system nakazów pracy, jeśli ktoś nie rozpoczynał studiów II stopnia, procedura jej zdobycia była prosta. W moim przypadku zatrudnienie musiałem otrzymać w aparacie handlu zagranicznego, to znaczy bądź w Ministerstwie Handlu Zagranicznego bądź podległych mu Centralach Handlu Zagranicznego, które były zlokalizowane głównie w Warszawie. I w jednej z takich central, w *Universalu*, przeprowadziłem nawet rozmowę z jej dyrektorem naczelnym, który chętnie chciał mnie przyjąć do pracy. Potrzebował jednak przedstawienia mu nakazu pracy. Ale, jak okazało się w MHZ, gdzie poszedłem po ten papierek, mój nakaz pracy zastrzegł sobie do swojej dyspozycji Komitet

Centralny PZPR. W rezultacie tego nie rozpocząłem pracy w *Universalu*, a jednocześnie nie wiedziałem kiedy i gdzie zdobędę inne zatrudnienie. Aż wreszcie, na początku listopada 1954 r., wezwano mnie do KC i zaproponowano mi pracę w nowoutworzonej Komisji ds. Nauki przy Biurze Politycznym Komitetu Centralnego PZPR, której miałem być etatowym sekretarzem. Władze partyjne chciały bowiem wiedzieć jaki jest stan nauki polskiej i Komisja miała przedstawić im odpowiedni raport w tej sprawie.¹

Pracę więc w końcu zdobyłem, ale w Warszawie, podczas gdy Niunia nadal pracowała w Końskich w powiatowej przychodni stomatologicznej. A jak długo ten nienormalny stan rzeczy miał trwać - nie miałem pojęcia. Jedno natomiast, o czym wiedziałem już dawniej, to fakt, że w KC można było łatwiej otrzymać mieszkanie z przydziału niż w innych miejscach pracy. W MHZ i CHZ, o czym też wiedziałem, czekać na mieszkanie można było całymi latami. Warszawa była jednym wielkim placem budowy, ale mieszkań dla szybko rozrastającego się miasta nie starczało. Dyrektor *Universalu* przyrzekał mi co prawda jakiś chwilowy kąt w swoim biurówcu, wtedy mieszczącym się pomiędzy ul. Mokotowską a ul. Kruczą *en face* ul. Koszykowej, ale jak taki kąt miał wyglądać w praktyce nie mogłem sobie wyobrazić. Wynajęcie zaś mieszkania prywatnie w samej Warszawie było prawie niemożliwe, a gdzieś pod Warszawą,

¹ Do Komisji, której koordynatorem był Stefan Wierbłowski, b. wiceminister spraw zagranicznych i członek KC PZPR, wchodził: Franciszek Fiedler, czł. KC PZPR (czynnego udziału w pracach nie brał), Leon Kasman, czł. KC PZPRR i redaktor naczelny *Trybuny Ludu*, inż. Mieczysław Lesz, wiceprzewodniczący Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego, prof. Kazimierz Petruszewicz, biolog i Sekretarz Wydziału Nauk Biologicznych PAN, Adam Rapacki, zastępca członka Biura Politycznego KC PZPR i minister nauki i szkolnictwa wyższego (po 1956 r. minister spraw zagranicznych), filozof i czł. KC PZPR prof. Adam Schaff, prof. Paweł Szulkin, fizyk i czł. PAN, Zofia Zemankowa, kier. Wydziału Nauki i Szkolnictwa Wyższego KC PZPR i prof. Stefan Żółkiewski, kier. Wydziału Kultury KC PZPR (po połączeniu obu Wydziałów KC w Wydział Kultury i Nauki, S. Żółkiewski został jego kierownikiem, a Z. Zemankowa jego zastępcą). Komisja stworzyła szereg zespołów, głównie z dziedziny nauk ścisłych i filozofii. Członkiem Zespołu Filozofii był m. in. prof. Leszek Kołakowski, dziś światowej sławy filozof. Z innych zespołów na uwagę zasługiwał Zespół Fizyki, do którego m. in. wchodził prof. Henryk Niewodniczański z Krakowa, prof. Andrzej Sołtan, dyrektor utworzonego w 1955 r. Instytutu Badań Jądrowych i „ojciec” uruchomionego w 1958 r. reaktora atomowego „EWA” w Świerku oraz prof. Leonard Sosnowski, dyr. Instytutu Fizyki PAN.
P. S. Z prof. A. Sołtanem, powodowany własną ciekawością, przeprowadziłem raz rozmowę na temat możliwości zbudowania przez PRL bomby atomowej. Profesor, niezwykle oględnie, powiedział mi wtedy, że coś takiego było zupełnie nierealne. Samo wykształcenie kadr do tego celu musiałoby trwać co najmniej 15 lat, a ponadto kadry bardziej wyspecjalizowane będą już wkrótce kształcić wyłącznie w ZSRR, w powstającym tam w Dubnej Zjednoczonym Instytucie Badań Jądrowych krajów RWPG. Ewentualne wykorzystanie tych kadr do prac nad bronią nuklearną będzie w związku z tym niemożliwe, gdyż ZSRR, nie zainteresowany w takim przedsięwzięciu, natychmiast się o tym dowie. Wiele nieodzownych urządzeń i aparatury należałoby ponadto sprowadzić z zagranicy, ale skąd? Nie z ZSRR, nie z USA i Anglii, ani nawet Francji, która jeszcze wówczas nie miała broni atomowej i nie wiadomo było kiedy będzie ją mieć. Innym problemem byłyby koszty przedsięwzięcia, zbyt wysokie jak na polskie możliwości;

z codziennymi dojazdami podmiejskimi pociągami, było też nie lepsze. Poza tym, czynsz miesięczny w prywatnych mieszkaniach byłby za wysoki jak na nasze kieszenie.

W wyniku tych okoliczności, ja pracowałem w Warszawie, a Niunia w Końskich. Mieszkałem w kilkuosobowym pokoju w hotelu KC przy ul. Belwederskiej, a więc o sprowadzeniu Niuni do Warszawy nie było mowy. Uzyskanie zaś przeze mnie mieszkania od KC też zaczęło się komplikować. Wbrew utartym bowiem poglądom, z mieszkaniami też nie było tam najlepiej, jak wkrótce się o tym przekonałem, zwłaszcza w przypadku pracowników niższych szczebli, a do takich należałem w KC. Pracownicy tacy czekali latami na mieszkania.

Tym niemniej, coś trzeba było zacząć działać, gdyż inaczej mieszkanie samo nie przyszłoby do mnie. Zresztą, nie tylko problem mieszkaniowy musiałem jakoś rozwiązać. Były przecież inne i życiowo również dla mnie ważne problemy. Przede wszystkim, swojego zatrudnienia w KC nie traktowałem od początku jako życiowej kariery, a co najwyżej tylko jako czasowe rozwiązanie. Chciałem bowiem pracować - zgodnie z kierunkiem studiów - w handlu zagranicznym. Chciałem też - o ile pozwoliłyby na to warunki - skończyć studia II stopnia i uzyskać tytuł magistra. Mogłem to uczynić bądź zapisaniem się na studia dzienne, czyli faktycznie być nadal studentem, żyjącym ze stypendium i mieszkającym w akademiku, ale wtedy o sprowadzeniu Niuni do Warszawy nie mogłoby być mowy. Mogłem też, kontynuując pracę, zapisać się na zaoczne studia magisterskie, ale z tego pomysłu zrezygnowałem. W KC bowiem, nie tak jak w innych instytucjach, nie było tzw. dyscypliny pracy. Do pracy przychodziło się punktualnie o 9-tej rano, a opuszczało ją o 17-tej (w sobotę o 14-tej), ale w międzyczasie można było z niej wychodzić. Skorzystałem więc z tej szansy i zapisałem się na dzienne studia II stopnia. W tym czasie Wydział Handlu Zagranicznego przeniesiono akurat ze Szkoły Głównej Służby Zagranicznej do Szkoły Głównej Planowania i Statystyki i tam, w Katedrze Międzynarodowych Stosunków Gospodarczych, u znanego mi jeszcze z SGSZ prof. Tadeusza Łychowskiego, otworzyłem przewód magisterski. Chodziłem regularnie na wszystkie zajęcia, a na dodatek, choć na ogół dopiero po pracy, buszowałem po bibliotekach, przede wszystkim Głównego Urzędu Statystycznego, który miał również zachodnie publikacje statystyczno-ekonomiczne oraz Polskiego Instytutu Spraw Zagranicznych. Za temat pracy

magisterskiej obrałem bowiem *Ekspansję eksportu niemieckiego (po wojnie zachodnio-niemieckiego) na rynki europejskie*, a więc miałem sporo materiału do przewertowania.

Sprawę dalszego kontynuowania studiów rozwiązałem więc pomyślnie i teraz mogłem wziąć się za rozwiązanie sprawy mieszkania. Niunia bowiem przecież nadal mieszkała w Końskich. W KC otrzymywałem każdego tygodnia bezpłatny bilet kolejowy, przysługujący funkcjonariuszom żyjącym w przymusowej rozłące małżeńskiej. Do Niuni mogłem więc co prawda bezpłatnie dojeżdżać, ale mimo wszystko podróżowanie zatłoczonymi pociągami, z przesiadkami bądź w Skarżysku Kamiennej bądź Kuluszkach, było wielce uciążliwe, zwłaszcza poniedziałkowy wyjazd z Końskich o 2-giej nad ranem, żeby być w pracy o 9-tej rano.

Mieszkanie w Warszawie stało się więc dla nas pierwszą potrzebą. Okazało się jednak, że we wspomnianej Komisji, gdzie pracowałem, byłem jedynym etatowym funkcjonariuszem i stąd nie miał mi kto podpisać podania o mieszkanie! Ale ponieważ formalnie Komisja była podporządkowana Biuru Politycznemu KC, więc poradzono mi, żebym z podaniem udał się do tow. Kubowskiej w kancelarii Sekretariatu KC.

Udałem się więc do kancelarii na I-szym piętrze, gdzie nawet dla pracowników KC wstęp był ograniczony. Ochroniarz jednakże, widząc mnie w oficerskich butach i bryczesach, pozostałość z Korei, nie tylko wpuścił mnie na piętro, ale jeszcze wskazał mi poszukiwany pokój. Po wejściu do niego ujrzałem dwie podeszłe w wieku kobiety, a więc zapytałem która z nich jest tow. Kubowską.

- *Ja, a co Wam chodzi towarzyszu?* - odezwało się obleśne babsko podobne do rozlanej ropuchy.

- *Poinformowano mnie, że to Wy możecie podpisać moje podanie o mieszkanie, gdyż Komisja, w której pracuję, jest w nomenklaturze Sekretariatu KC* - odpowiedziałem.

Babsko wzięło ode mnie podanie, przeczytało go i schowało do jakiejś teczki.

- *Na drugi raz proszę nie przychodzić do mnie z takimi sprawami* - wymamrotało.

Spojrzałem się na nią dość brzydtko, ale w rozmowę z nią nie wdawałem się i wyszedłem.

Potem była cisza ze dwa tygodnie, aż pewnego dnia, na początku marca 1955 r., zadzwonił do mnie tow. Bendek (wtedy nie wiedziałem kto to był taki, a był on wielką szychą -

kierownikiem wydziału gospodarczo-administracyjnego KC), prosząc o wpadnięcie do niego. Kiedy zjawiłem się u niego, to zaraz zakomunikował mi, że pojedziemy zobaczyć... moje mieszkanie!

Uszom własnym nie wierzyłem. Po kwadransie, zajechaliśmy jego służbową *Warszawą* z kierowcą na ul. Wiktorską na Mokotowie. Oczom moim ukazał się dopiero co ukończony czteropiętrowy blok mieszkalny z czerwonej cegły (otynkowano go dopiero w cztery lata później). Na dole działał już sklep spożywczy i jak zauważyłem do bloku sprowadzali się pierwsi jego mieszkańcy.² Weszliśmy na II piętro, Bendek otworzył drzwi i wprowadził mnie do mieszkania. Co za wspaniałość! Pachnie świeżą farbą i pełno w nim słońca! Ma przedpokój, łazienkę z wanną, kuchnię, no i pokój, jaki wielki!

Rzeczywistość była diametralnie inna, ale ja widziałem co innego! Powierzchnia mieszkania liczyła bowiem niecałe 30 metrów kwadratowych, ale mnie wydawała się dwa razy większa!

- *Biorę je!* - wykrzyknąłem do Bendka.

- *Towarzyszu Rurarz - zaczął Bendek. - Wy jesteście młodym człowiekiem, Wasze małżeństwo jest rozwojowe. Nie śpieszcie się. Napiszcie, że żona jest w ciąży i może za parę tygodni dostaniecie dwa pokoje z kuchnią...*

- *Żona nie jest w ciąży!*- krzyczę, podejrzewając podstęp z jego strony. Słyszałem już przecież od innych, że oferowane mieszkanie należy brać od ręki, gdyż inaczej można na nie potem czekać latami.

Bendek nic mi na to nie odpowiedział i poprosił tylko, żebym różne formalności związane z otrzymaniem mieszkania załatwił z jego pracownicą. Po powrocie do pracy pobiegnęłam zaraz na pocztę i wysłałam do Niuni telegram, żeby natychmiast przyjeżdżała zobaczyć nasze nowe mieszkanie!

Niunia przyjechała następnego dnia i natychmiast udaliśmy się na miejsce. Otworzyłem

² Tuż pod nami, jak się wkrótce okazało, zamieszkał znany pisarz Stanisław Dygat, chyba dwumetrowy dryblas, z niższą od siebie o co najmniej dwie głowy Kaliną Jędrusik, nie mniej znaną aktorką i piosenkarką.

drzwi... Jakoś ciemno w mieszkaniu, choć było dopiero południe.

- Przecież okna, z pokoju i kuchni (a były tylko dwa) wychodzą na północ! Gdzie ty widziałeś tutaj słońce? - pyta Niunia z płaczem w głosie.

Rzeczywiście! Teraz dopiero widzę, że Niunia ma rację. Skąd ubrdało mi się, że okna wychodziły na południe? Najprawdopodobniej, kiedy po raz pierwszy wszedłem do mieszkania, świeciło słońce i jego promienie odbijały się w mieszkaniu z okien naprzeciwko. Stąd pewnie powstało u mnie wrażenie, że nasze okna wychodziły na południe...

- Jak my się tutaj pomieścimy kiedyś z dzieckiem w tak małym mieszkaniu... - mówiła wyraźnie skwaszona Niunia.

Do tego, że miałem propozycję Bendka uzyskania dwupokojowego mieszkania, jeśli zaznaczyłbym w podaniu, że spodziewamy się dziecka, przezornie już się nie przyznałem... Ani tym bardziej do reakcji moich współpracowników w KC, którzy dowiedziawszy, że podanie o mieszkanie podpisała mi Kubowska, wręcz wykrzykiwali:

- Człowieku, Kubowska jest zaufaną Bieruta i trzeba było od Bendka żądać co najmniej dwupokojowego mieszkania!

No tak, mądry Polak po szkodzie. Skąd miałem wiedzieć kim była Kubowska? Myślałem przecież, że może była zwykłą funkcjonariuszką w Sekretariacie KC ...

Niunia powróciła do Końskich, a ja, po załatwieniu formalności przejęcia mieszkania, zacząłem je meblować, zadanie w owych czasach wcale nie takie łatwe. Mebli i innego domowego wyposażenia chronicznie brakowało w sklepach i trzeba było włożyć wiele wysiłku w ich zdobycie. Po wielu dniach do pokoju zawitały szafa, tapczan, fotel-wersalka, stół z krzesłami i stolik pod radio, a do kuchni stolik z dwoma krzesłami. Meble tak wypełniły mieszkanie, że poruszać się w nim było trudno, a jeszcze kiedyś uzupełnić ten natłok miało dziecinne łóżeczko...

Gdy mieszkanie meblowałem, co trwało parę tygodni, Niunia była w Końskich, gdzie nadal dojeżdżałem co tydzień. Pracę już miałem, mieszkanie także, a więc jakoś tam będzie. No i nadszedł czas, kiedy musieliśmy zacząć przygotowywać się duchowo do przyszłej roli rodziców. Materialnie bowiem - tak nam wydawało się - byliśmy do tego już przygotowani. Zresztą, tylko

ludzie młodzi mogą zdobyć się na dziecko, kiedy nawet nie wszystko jest dopięte na przysłowiowy ostatni guzik. Ludzie w starszym wieku mają już szereg różnych zastrzeżeń. Dobrze więc, że nie należeliśmy do tych ostatnich, gdyż pewnie zawsze coś stałoby na przeszkodzie, żeby „odłożyć dziecko na lepsze czasy”...

W kwietniu Niunia przybyła wreszcie do Warszawy już na stałe, ale długo w niej miejsca nie zagrzała. Nie tylko dla stomatologów było wtedy niezwykle trudno o pracę w Warszawie, choć dorywczo ją znalazła, ale wkrótce zaczęła mieć problemy z ciążą. Pojechała więc do Końskich, gdzie Mama żywiła ją zupą cytrynową, na którą jedynie miała apetyt. Ja z kolei, jako oficer rezerwy, zostałem powołany na wojskowe ćwiczenia letnie w Czerwonym Borze, gdzie w 3 Berlińskim Pułku Piechoty 1 Warszawskiej Dywizji Piechoty miałem być dowódcą plutonu.

Przy końcu lata Niunia jednak powróciła do Warszawy i za zgodą lekarza zaczęła dorywczo pracować w przychodniach stomatologicznych na Mokotowie, ale było to dla niej niezwykle męczące, jako że chodziła jak przysłowiowa beka. Była pewna, że urodzi dziewczynkę, a ja też tego chciałem. Drugie dziecko może być chłopcem, ale pierwsze niech będzie dziewczynką - tak myślałem.

Tak czy inaczej, zostałem ojcem i radość moja nie miała granic! Jeśli tylko coś mnie gnębiło, to niepewność, kiedy całą trójką zjawimy się wreszcie w naszym mieszkaniu. W końcu jednak, po niemal trzech tygodniach pobytu w szpitalu, Niunia mogła go opuścić wraz z dzieckiem. Z KC dostałem służbowy samochód z kierowcą i Niunię wraz z Ewą (Niunia jeszcze w ciąży nadała jej takie imię), jadąc śnieżnymi tunelami, zabrałem wreszcie ze szpitala. Niosąc Ewę w zawiniętej szczelnie poduszce nie mogłem jej nawet zobaczyć, ale w domu wreszcie ją zobaczyłem, też nie na długo, gdyż ze względu na ciągle panujące mrozy temperatura w domu nie przekraczała 13 stopni, a na ścianie zewnętrznej srebrzył się szron.

Wkrótce zjechała do nas Mama. Była przerażona zimnem w mieszkaniu i możliwością zaziębienia dziecka. Zaoferowała więc nam pomoc. Niech Niunia zabiera dziecko i jedzie z nim do Końskich, gdyż tam będzie mieć cieplej w ogrzewanym piecem węglowym pokoju. Z propozycji tej chętnie skorzystaliśmy, a ponieważ zima akurat nieco zelżała więc Ewa z Niunią i Mamą pojechały do Końskich. Jak na młodych i rozdzielonych rodziców nie było to najlepsze

rozwiązanie, ale lepszego nie było. I tak zaczęliśmy „rodzicować”...

W każdym razie, dziecko unaocniło nam wiele problemów. Niunia pracowała cały dzień, w dodatku na zmienne godziny, a ja po pracy siedziałem wieczorami po bibliotekach, żeby w terminie złożyć pracę magisterską. Pośpiech był dla mnie o tyle ważny, że zacząłem oglądać się za nową pracą. Praca w KC nie odpowiadała mi nigdy, gdyż w moim przekonaniu była to droga do nikąd. Komisja, moje główne zajęcie, zawiesiła swoje prace latem 1956 r., a praca w sektorze studiów ekonomicznych Wydziału Nauki i Kultury nie interesowała mnie. KC ponadto, w wyniku fermentu w PZPR, stało się miejscem nie pracy, ale plotek i zawiązywania różnych koterii, co zupełnie mi nie odpowiadało. Po wypadkach zaś czerwcowych w Poznaniu i po plenum lipcowym, dalsza praca w KC była już zupełnie bez sensu.³ Ponieważ pracę magisterską złożyłem w terminie, a obronę jej miałem mieć wkrótce, więc postanowiłem

³ Ze względu na wyjątkowość tych wydarzeń, jak też je poprzedzających, które akurat przypadły na okres mojej pracy w KC PZPR, należą się im pewne wyjaśnienia.

Otóż po śmierci Stalina 5 marca 1953 r., w ZSRR, a następnie w innych krajach „wspólnoty socjalistycznej”, rozpoczął się okres tzw. Odwilży. Towarzyszyły mu różne zmiany w funkcjonowaniu państwa i partii (ogólnie o charakterze pozytywnym), jak również walki międzyfrakcyjne, głównie w radzieckim kierownictwie partyjnym.

Co się tyczy PZPR, to choć początkowo, dopóki żył Bolesław Bierut, osoba Nr 1 w PRL, „Odwilż” przybrała względnie ograniczony charakter. Tym niemniej, w PZPR zaczął się ferment. Podnosiły się głosy o zwolnieniu z aresztu, rehabilitowaniu, a nawet powrocie do władzy Władysława Gomułki. Domagano się też rewizji wydanych wyroków i szerokiej amnestii dla więźniów politycznych. Prawdziwą jednak sensacją było opublikowanie w sierpniu 1955 r. *Poematu dla dorosłych* Adama Ważyka, wieloletniego komunisty, który raptem zaczął krytykować „socjalistyczną rzeczywistość”. *Poemat* odbił się silnym echem wśród funkcjonariuszy KC, którzy podzielili się na jego krytyków i zwolenników (należałem do tych ostatnich). Wskutek tego w KC odbywały się niezliczone zebrania i narady, dzieląc z grubsza skład jego funkcjonariuszy według kryteriów etnicznych. Wyżsi funkcjonariusze KC byli bowiem głównie pochodzenia żydowskiego, podczas gdy pozostali, tacy jak ja, zaliczali się do „polskiego proletariatu”. Pierwsi, początkowo krytyczni wobec *Poematu*, potem zaczęli zmieniać zdanie. Drudzy, choć nie szczędzący krytyki pod adresem Ważyka (był pochodzenia żydowskiego), uznawali jednak pozytywną rolę jego *Poematu*. Rozgorzały spór wewnątrz aparatu partyjnego KC zaczął przenosić się na forum tzw. centralnego aktywu partii. Nasilił się jeszcze po XX zjeździe KPZR, odbytym w Moskwie w lutym 1956 r., gdzie poza krytyką Stalina dokonano też rehabilitacji rozwiązanej w 1938 r. KPP, Komunistycznej Partii Polski. Spory przybrały już wkrótce wręcz lawinowy charakter po tym jak, 12 marca 1956 r., zmarł nagle Bierut. Powodem zaostrzonych sporów była osobista interwencja Chruszczowa w wyborze następcy Bieruta. Przypisywano mu bowiem sprzeciw wyboru kogokolwiek pochodzenia żydowskiego (na następcę Bieruta wybrano Edwarda Ochaba, Polaka ożenionego z Żydówką). Nie był to jednak koniec rozgorzałych sporów. Sporom tym należy chyba przypisać ciągle niejasne tło krwawych wydarzeń w Poznaniu w czerwcu 1956 r., które zostały bardzo chytrze sprowokowane. PZPR zaczęła się odtąd niemal już otwarcie dzielić na dwie nawzajem zwalczające się frakcje, tzw. Natolińczyków i Puławian. Pierwszych zaczęto (niesłusznie) nazywać „konserwą”, a drugich, najczęściej pochodzenia żydowskiego, „postępowcami”. Podział zaostrzył się w czasie zwołanego w dniach 18-20 i 23-28 lipca 1956 r. VII plenum KC PZPR, w czasie którego wystąpił Zenon Nowak, członek Biura Politycznego i jeden z Sekretarzy KC PZPR. Uważany za przywódcę „Natolińczyków”, Nowak zaproponował „regulację kadrową” wysokich stanowisk w partii i państwie uważając, że zbyt wiele z nich znajduje się w rękach mniejszości żydowskiej. Postulat jego odbił się głośnym echem wśród funkcjonariuszy KC, którzy odtąd niemal codziennie zwoływali narady, często z udziałem członków najwyższego kierownictwa PZPR (kres tym sporom, ale już pod moją nieobecność w KC, położyły dopiero tzw. wydarzenia październikowe 1956 r.).

przenieść się do pracy w MHZ, co stało się z dniem 1 września 1956 r. W nowym miejscu pracy pensję miałem początkowo identyczną jak w KC, za granicę długo nie wyjeżdżałem, a o dostaniu tam większego mieszkania nawet nie mogłem marzyć.

W lipcu 1959 r. zostałem mianowany naczelnikiem nowoutworzonego Wydziału Międzynarodowych Organizacji w MHZ i w planie miałem wiele wyjazdów zagranicznych w najbliższym półroczu, od Genewy zaczynając, a na Tokio kończąc. A ponieważ Niunia pracowała na zmienne godziny, więc wzięcie kogoś do opieki nad dzieckiem było w ciasnym mieszkaniu niemożliwe. Ewa musiała więc znowu wracać do Końskich. Dopiero po przeprowadzce w kwietniu 1960 r. do większego, dwupokojowego mieszkania przy ul. Rapperswilskiej 11 na Saskiej Kępie, można było pomyśleć o sprowadzeniu jej do Warszawy. Nowo zbudowany i niewielki dwupiętrowy blok, zamieszkały przez pracowników resortu handlu zagranicznego, był bardzo przyjemny z wyglądu, a nasze mieszkanie było wreszcie pełne słońca, jako że okna od kuchni i dwóch pokoi wychodziły na południe i zachód. Mimo swoich 46,5 metrów kwadratowych powierzchni, mieszkanie było bardzo ustawne i wydawało nam się duże i piękne. Ewa, po tym jak sprowadziliśmy ją do Warszawy, poszła do przedszkola na ul. Francuskiej, oddalonego od nas o ok. kilometr. I tak zaczął się nowy rozdział w naszym wspólnym życiu, które ciągnie się do tej pory...

18 stycznia 2006 r.

W styczniu posypały się rocznice urodzinowe w naszej rodzinie (podobnie też będzie w lutym, na który przypadają urodziny Belli i moje). W dzisiejszy dzień środy bowiem Niunia obchodzi 74-tą rocznicę urodzin. Urodzin z reguły nie obchodzi, obchodząc jedynie imieniny 24 czerwca, ale reszta naszej rodziny nie zapomina o nich i siłą rzeczy musi je obchodzić także i Niunia.

No cóż nie ukrywamy brutalnej prawdy, że lat nam przybywa, a po siedemdziesiątce, jakby je nie liczyć, przybywa ich coś za szybko. Dawniej rok ciągnął się bez końca, a teraz mija przeraźliwie szybko... W rozmowach naszych z Niunią nie unikamy tego przykrego tematu, gdyż nie ma co udawać, że jak nie mówi się o przemijaniu czasu, to stoi on w miejscu! Niestety, nie

stoi i oboje doskonale o tym wiemy. Treści ich, a prowadzimy je często, choć nigdy nie są one długie, nie będę powtarzał, gdyż nie ma w nich nic budującego. Nasz horyzont czasowy zawęża się nieuchronnie i nie ma na to rady. Pomimo to rozmowy te nie są pełne przerażenia, że oto z każdym rokiem jesteśmy coraz bliżsi wiadomego końca. Z dozą niewątpliwej rezygnacji po prostu stwierdzamy pewne fakty i naszą wobec nich bezsilność. O przyszłości, nie tak jak dawniej, rzadko kiedy mówimy, a jeśli już, to głównie w kontekście naszych wnuczek. Liwia na przykład, po skończeniu w połowie roku swoich studiów, na dalsze, magisterskie, pojedzie najprawdopodobniej na dwa lata do Genewy. W związku z tym już myślimy o odwiedzeniu jej, zwłaszcza że z Genewą wiąże się wiele naszych wspomnień, a przy okazji o wpadnięciu do Rzymu.

Za miesiąc i prawie tydzień znów będziemy rozmawiać na urodzinowe tematy, kiedy stuknie mi siedemdziesiąt sześć lat...

A każde urodziny u ludzi wiekowo zaawansowanych mają dwie strony, jedną różową, że człowiek w ogóle tak daleko zabrnął w lata, a drugą czarną, że o rok skrócił sobie żywot. Z pewnością smutne byłyby te nasze urodziny, gdybyśmy byli sami. Na szczęście, nie jesteśmy i o ile już nie żyjemy naszą przyszłością, to niewątpliwie szczęściem jest dla nas myśl o wspaniałej przyszłości naszych dzieci i wnuczek.

I dzięki temu lżej brnie nam się w lata...

19 stycznia 2006 r.

W dniu dzisiejszym, jeśli chodzi o wydarzenia międzynarodowe, amerykańskie czy polskie, nie stało się nic szczególnego, co byłoby godne odnotowania.

Data 19 stycznia zajmuje jednak bardzo ważne miejsce w moich osobistych wspomnieniach. W dniu tym bowiem, w 1945 r., stało się coś, co zadecydowało o moim dalszym życiu. Stąd też dzień ten, mimo upływu sześćdziesięciu jeden lat, tkwi głęboko w mojej pamięci. W tym dniu mianowicie, w mroźny, zaśnieżony i nieco zamglony piątek tego 19 stycznia 1945 r., około 3-ciej po południu, zobaczyłem Armię Czerwoną, przepędzającą Niemców ze skrawka okupowanej przez nich Polski przez ostatnie ponad sześćdziesiąt cztery miesiące.

Od tego momentu życie moje potoczyło się i *nadal* toczy pod wpływem tamtego wydarzenia. Gdyby ktoś zapytał mnie o dwie najważniejsze daty w moim życiu, poza tymi ściśle osobistymi, to bez wahania odpowiedziałbym, że pierwszą było ujrzenie Wehrmachtu we wsi Sucha we wrześniu 1939 r., a drugim ujrzenie Armii Czerwonej we wsi Furmanów w styczniu 1945 r. Zwrócenie się w Tokio o azyl polityczny w USA było już tylko konsekwencją tamtych dwóch wydarzeń. Gdyby Polska nie utraciła swojej niepodległości w 1939 r., a potem nie została wyzwolona, albo „wyzwolona” - jak to dziś mówi się - przez Armię Czerwoną, to z pewnością *nigdy* nie opuściłbym z własnej woli kraju ojczystego.

Zanim jednak przejdę do opowieści jak to było z ujrzeniem Armii Czerwonej, muszę cofnąć się nieco wstecz.

W połowie października 1944 r. u babci Pawlikowskiej, gdzie wtedy mieszkaliśmy po spaleniu Radoszyc, zjawiły się dwie ojca siostry, proponując nam natychmiastowe przeniesienie się do Furmanowa. Ciotki dosłownie spadły nam z przysłowiowego nieba. U babci bowiem, w zatłoczonym dziewiętnastoma osobami dwupokojowym z kuchnią domu, nie tylko trudno było o jakies godziwe warunki bytu, pomijając już natłok, ale wyżywienie tylu ludzi też zaczęło być problemem. Na szczęście walki partyzancko-niemieckie już wtedy niemal ustały i nowe pacyfikacje były mało prawdopodobne, ale mimo wszystko dalszy pobyt u babci był gorszym rozwiązaniem niż skorzystanie z propozycji ojca rodziny.

W rezultacie tego, najpierw ja ze Staśkiem i ciotkami, udałem się w drogę do kolejnego, już siódmego w czasie wojny miejsca naszego zamieszkania, gdzie w parę dni później miała przybyć do Furmanowa reszta rodziny. Idąc pieszo do Końskich, przeszedłem w Radoszycach koło zgliszcz spalonego domu, w którym mieszkałem przez ponad dwa i pół roku. Smutny był to widok. Tylko kawałek murowanej ściany stał na jego miejscu.

Po pięciu godzinach marszu dotarliśmy do stacji kolejowej w Końskich. Na peronie kręciło się pełno Niemców i Azjatów, b. jeńców radzieckich, którzy przeszli na niemiecką służbę. Wsiadliśmy do pociągu i po półgodzinnej podróży dotarliśmy do stacji Wólka Plebańska, odległej o ok. 4,5 km od Furmanowa. W Furmanowie, podobnie jak jesienią 1939 r., chwilowo zatrzymałem się ze Staśkiem u stryjostwa, a gdy po paru dniach dotarła reszta rodziny,

zamieszkaliśmy w opustoszałym dwuizbowym domu, którego właściciele wyjechali na roboty do Niemiec.

Niedługo byliśmy jedynymi mieszkańcami domu, gdyż po paru dniach zjechali nagle do Furmanowa na kwatery Niemcy i identycznie jak oni umundurowani i uzbrojeni b. jeńcy radzieccy.⁴ Była to jakaś niewielka jednostka zmotoryzowana o pomocniczym charakterze, którą dowodził niemiecki kapitan z paroma oficerami. Podoficerami i kierowcami ciężarówek byli na ogół Rosjanie (nie Azjaci i nie Ukraińcy). W czasie zbiórek, wykrzykując komendy łamanym niemieckim, sprawiali oni szyki i prężąc się składali raporty niemieckiemu dowódcy. Wyglądało to niezwykle dziwnie. Oto wczorajsi wrogowie byli teraz współtowarzyszami broni! Wkrótce jednak moje zdziwienie było jeszcze większe, gdy w jednostce zobaczyłem sześciu...Polaków! Jak mówili, byli warszawskimi powstańcami, a teraz... zaciągnęli się do tworzonych przez Niemców „polskich oddziałów zbrojnych”, aby zemścić się na Armii Czerwonej za nie udzielenie Powstaniu pomocy. O ucieczce do partyzantów nie chcieli słyszeć. Inna rzecz zresztą, że nie bardzo mieliby i gdzie do nich przystać. Partyzantów już wtedy niemal nie było. Tylko czasem widywałem nielicznych z jakichś małych oddziałków AL, głównie złożonych z Żydów, gdyż brygady kielecko-radomskiego AL wcześniej już przebiły się przez front i poszły za Wisłę. Partyzanci z AK też już byli nieliczni. Kilkunastu z nich widziałem, ale jako niemieckich jeńców, gdyż w okolicznych lasach trwały ciągle obławy. W czasie jednej z nich, 5 listopada 1944 r., został otoczony, wtedy już w stanie szczątkowym, 3 pułk piechoty AK „Szarego” (wraz z 25 pułkiem piechoty AK, pułk liczył tylko ok. 400 ludzi). „Szary” - jak to napisał później w swoich pamiętnikach - dał zaskoczyć się obławie w lasach niekłańskich, tracąc w wyniku tego 9-ciu zabitych, tabory oraz kilkunastu jeńców, o czym nie pisze, ale których potem widziałem w Furmanowie ze związanymi drutem rękami na plecach. Mówili, iż byli od „Szarego” (wkrótce potem zostali pod silną eskortą załadowani do „budy”, krytej wojskowej ciężarówki i wywiezieni w niewiadomym kierunku).

⁴ Stworzone przez Niemców formacje wojskowe z b. jeńców radzieckich, głównie Azjatów, choć także i rdzennych Rosjan, różnie były nazywane przez Polaków, którzy nie zawsze odróżniali jedne formacje od drugih. Najczęściej jednak formacje takie nazywali „Mongolami”, „Kałmukami”, „Ukraińcami” lub „własowcami”.

Od tej pory żadnych partyzantów już nie widziałem, a tylko mówiono, że wiosną „Szary” znowu rozpocznie walki z Niemcami.

Odnosnie służących w mieszanej jednostce Rosjan, którzy często do nas przychodzili, a przejściowo nawet mieszkali, dokąd jednej z dwóch izb nie zajęło sześciu Niemców, to w rozmowach z ojcem pomstowali oni na bolszewików ile weszło. Jeden z nich, chłop na schwał, przesiedział pięć lat w łagrze za kradzież ...główki cebuli. No i teraz przysięgał, że prędzej zginie niż da wziąć się bolszewikom żywcem.

Niemcy z kolei, którzy przyszli do nas na kwaterę, to jak sami mówili - a rozmawiali ze mną chętnie, zaskoczeni moim niemieckim - byli z *Volkssturumu*, pospolitego ruszenia, już dobrze po czterdziestce, a jeden z nich miał nawet sztywne palce u prawej ręki i stąd nie miał karabinu, a jedynie „kopyście”, jak Polacy nazywali niemieckie ręczne granaty, ze względu na ich drewniane trzonki. Niemcy ci nie tylko zachowywali się bardzo kulturalnie, ale co najważniejsze, dzielili się z nami przydzielanym fasowanym prowiantem, a nawet gorącym jedzeniem, przynoszonym w menażkach z polowej kuchni. Wojnę przeklinali, uważając ją za przegraną i to pomimo - jak to wyczytywałem w przynoszonych przez nich gazetach - rozpoczętej w połowie grudnia w Ardenach niemieckiej kontrofensywy przeciwko Aliantom, głównie Amerykanom, która ponoć odnosiła ogromne sukcesy. Do tego chwilowego zwycięstwa „nasi” Niemcy nie przywiązywali jednak żadnej wagi, a jeszcze mniej przywiązywał jeden z oficerów, porucznik, kwaterujący po sąsiedzku, któremu często tłumaczyłem rozmowy z gospodarzami domu. Kurował się po odniesionych ranach od pocisków „Katuszy” i chętnie wdawał się ze mną w rozmowy.

- *Ist Russland schwach?* (Czy Rosja jest słaba?) - odważyłem się raz go zapytać.

- *Nein, nein! Russland ist sehr stark! Die Rote Armee wird bald hier kommen!* (Nie, nie! Rosja jest bardzo silna. Armia Czerwona wkrótce tu przyjdzie!) - machając ręką mówił z rezygnacją.

A tymczasem chłopci w Furmanowie, z moim ojcem włącznie, ciągle jednak wierzyli w przyjście Amerykanów i Anglików przed Armią Czerwoną. Tylko dziadek, weteran wojny rosyjsko-japońskiej i I wojny światowej w szeregach rosyjskiej armii, niezachwianie wierzył w

nadejście „zjemlakow”.

Front tymczasem milczał. Tylko chyba w Wigilię, koło północy, radzieckie lotnictwo bombardowało węzeł kolejowy w Skarżysku-Kamiennej, odległym od Furmanowa w linii prostej o ok. 20 kilometrów. Niebo było rozświetlone świecami i reflektorami, z dołu leciały w górę sznury pocisków zapalających z niemieckich karabinów maszynowych, a z góry leciały radzieckie bomby, których nie było widać, ale za to było słychać po jakimś czasie ich huki. W Nowy Rok zaś, w dzień słoneczny i bezchmurny, kiedy byłem akurat na podwórku, usłyszałem zbliżający się warkot nadlatujących samolotów. Usłyszeć musieli go także „nasi” Niemcy, gdyż wysypali się z domu, bez broni, z gołymi głowami i w samych tylko mundurach, padając natychmiast na ziemię. Nie poszedłem w ich ślady i jak urzeczony patrzyłem na lecące na niskiej wysokości znad lasu dwa samoloty. Na ich skrzydłach i ogonie widniały wyraźnie pięcioramienne czerwone gwiazdy w białych obwódkach. Byłem też prawie pewny, że zza szklanej osłony widziałem pilotów w kabinach! Nie wiem, czy wypatrywali cele do ataku, a jeśli tak, to dobrze zamaskowanych samochodów musieli albo nie zobaczyć, albo zdecydowali nie atakować ich. Samoloty odleciały...⁵

Od tego dnia, nie mając pojęcia jak wyglądał wzajemny układ sił na Froncie Wschodnim, byłem jakoś przekonany, że najpierw nadejdzie Armia Czerwona, a nie amerykańska czy angielska, które ledwie zbliżały się wtedy do granic Niemiec. Gdzie im tam było do Polski...

Tymczasem zaś - jak to wyczytałem dopiero po latach - Front Wschodni, startując z linii Wisły, miał już wkrótce dokonać 400-kilometrowego skoku na zachód, docierając do Odry i Nysy Łużyckiej, oczyszczając z Niemców po drodze południowy brzeg Bałtyku.

Jako niespełna 15-letni chłopak, byłem świadkiem tego niewątpliwie doniosłego wydarzenia w historii Polski. Tyle tylko, że długo nie wiedziałem co naprawdę widziałem.

Front Wschodni - o czym dziś już wiem - w lipcu-wrześniu 1944 r. zamarł chwilowo na

⁵ Sylwetki samolotów zapamiętałem i po latach ustaliłem, że jeden z nich był „szturmowikiem” Il-2., najlepszym wówczas w świecie samolotem do niszczenia celów naziemnych, z dwoma działkami, trzema karabinami maszynowymi, w tym jeden wielkokalibrowy, ośmioma raketami powietrze-ziemia oraz do 600 kilogramami bomb na pokładzie. Drugim był myśliwiec Jak-3, uzbrojony w działko kal. 20 mm i dwa kaemy kal. 12,7 mm, wśród tłokowców najszybszy wówczas w świecie.

ziemiach polskich, po tym jak dokonał 400-kilometrowego skoku Armii Czerwonej w ciągu dziewięciu tygodni czerwca i lipca z Białorusi i Ukrainy, ustanawiając na lewym brzegu Wisły trzy przyczółki mostowe, Magnuszewski, Puławski i Sandomierski. Z nich głównie Armia Czerwona miała potem dokonać następnego skoku na zachód.

Najbliższym Furmanowa był Sandomierski Przyczółek, oddalony od niego w linii prostej o ok. 55 kilometrów.

W styczniu 1945 r. nie było więc wątpliwości, choć chyba większość Polaków chciała wierzyć w co innego, że Front Wschodni zadecyduje o ich dalszym losie. Tak też stało się. Front Wschodni, rozciągający się wtedy od Zatoki Fińskiej do Adriatyku, mniej więcej połową swojej długości, w pasie 1,2 tys. km, ruszył do przodu po 4,5-miesięcznym bezruchu. Głównego uderzenia Armia Czerwona dokonała wtedy na 480-kilometrowym odcinku, rozciągającym się od Serocka do Jasła. Uderzenie wykonane siłami I Białoruskiego Frontu pod dowództwem marszałka Gieorgija Żukowa, I Ukraińskiego Frontu pod dowództwem marszałka Iwana Koniewa oraz lewego skrzydła II Białoruskiego Frontu pod dowództwem marszałka Konstantego Rokossowskiego i prawego skrzydła IV Frontu Ukraińskiego pod dowództwem gen. armii Iwana Pietrowa, były ogromne. Do uderzenia przeszło 2,2 mln. żołnierzy i oficerów, uzbrojonych w 33,5 tys. dział i moździerzy, 7 tys. czołgów i dział samobieżnych oraz 5 tys. samolotów. Broniące się przed uderzeniem siły niemieckie, Grupa Armii „A” (od 26 stycznia przemianowana na Grupę Armii „Centrum”), były daleko nie wystarczające do wytrzymania uderzenia, licząc tylko 560 tys. żołnierzy i oficerów, uzbrojonych w 5 tys. dział i moździerzy, 1,2 tys. czołgów i dział samobieżnych oraz 630 samolotów. Siłami niemieckimi dowodził gen. płk. I. Harpe, a od 26 stycznia feldmarszałek Ferdynand Schörner.

Przewaga Armii Czerwonej nad Wehrmachtem i Waffen-SS była więc druzgocąca.

Najpierw, 12 stycznia 1945 r., ruszył I Front Ukraiński, a 14 stycznia I i II Front Białoruski oraz IV Front Ukraiński.

I Front Ukraiński, którego uderzenie wyszło z Przyczółka Sandomierskiego, z głównym jego kierunkiem na Wrocław, był drugim najsilniejszym po I Froncie Białoruskim zgrupowaniem Armii Czerwonej na Froncie Wschodnim. Nacierając w pasie niemal 160-

kilometrowym, od Jasła do Józefowa (na zachód od Kraśnika), jego osiem armii ogólnowojskowych, dwie pancerne, jedna powietrzna, trzy korpusy pancerne, jeden korpus zmechanizowany i jeden korpus kawalerii, bardzo szybko przełamały niemiecką obronę i runęły na zachód. Prawe skrzydło I Ukraińskiego Frontu, jak po latach to ustaliłem, czyli jednostki 13 Armii Ogólnowojskowej i 4 Armii Pancernej, przeszły 16 stycznia niemal bez boju przez Końskie, a w trzy dni później, przeszły przez położony od nich w linii prostej o ok. 14 km na północ Furmanów, łamiąc po drodze słaby opór niemieckich jednostek 4 Armii Pancernej i 24 Korpusu Pancernego i kilku innych, których nie udało mi się ustalić.

Tak wyglądały suche fakty, ale zobaczyć je w działaniu na własne oczy, choćby w minimalnym wycinku, to już zupełnie inna historia.

I tak, w piątek rano 12 stycznia 1945 r., od strony wschodnio-południowej doszedł do Furmanowa daleki łoskot ognia artyleryjskiego, jak nigdy dotąd potężny i długotrwały. Niemal zaraz potem, w kwaterującej w Furmanowie mieszanej jednostce niemiecko-rosyjskiej, zarządzono alarm. „Nasi” Niemcy, podnieceni i bladzi, szybko pożegnali się z nami i tylko ten ze sztywnymi palcami, wyraźnie przerażony, powiedział do mnie półgłosem:

- *Die Russen haben die Offensive begonnen...* (Rosjanie rozpoczęli ofensywę).

W chwilę potem, jako amunicyjny, stanął przy roslym Rosjaninie z erkaemem MG-42. W wielkim hełmie, z granatami za cholewami i dwoma blaszanymi pojemnikami z taśmami do erkaemu, wyglądał żałośnie...

W chwilę potem jednostka załadowała się na ciężarówki i ruszyła drogą na zachód w kierunku Wólki Zychowej.

Na wsi zrobiło się raptem cicho. Ale oto, po drugiej stronie zamrażniętego stawu, przy brzegu którego mieszkaliśmy, słyszę warkot. Widzę też jak do odległego o niecałe sto metrów mostu ze stawidłami, oddzielającego dwa stawy, z których początek bierze rzeka Czarna, podjeżdża powoli niemiecki czołg. Dowódca czołgu, niepewny widocznie, czy most nie załamie się pod nim, wyskoczył z niego i zaczął biegać po moście tupiąc nogami dla sprawdzenia jego wytrzymałości. Niepomny grożącego mi niebezpieczeństwa, popędziłem co sił przez zamrażnięty staw do czołgu, żeby zobaczyć co będzie dalej. Młody, wysoki, ryży i jakby

zezowaty porucznik (szarże niemieckie znałem), w „szlapię” ze słuchawkami na głowie, w kombinezonie z pistoletem w kaburze na pasie głównym z przodu po lewej stronie, patrzy na mnie ze zdziwieniem. Ja zaś ze zdziwieniem patrzę na czołg, z krótką lufą armaty i dwoma wystającymi lufami erkaemów.⁶

Na szczęście, Niemiec nie zwracał już więcej na mnie uwagi i szybko wskakując do czołgu zniknął w jego otwartej wieżyczce. Silnik zaryczał i czołg całym pędem ruszył do przodu. Most zachybotał się, zatrzeszczał, ale nie załamał się pod czołgiem. Przejechał...

I był to *jedyny* czołg niemiecki, jaki widziałem z bliska w styczniu 1945 r., choć jak to już wspominałem powyżej, tej części obszaru okupowanej Polski broniły armia pancerna i korpus pancerny (potem, przy drodze do Wólki Zychowej, widziałem jeszcze zniszczone pociskiem przeciwpancernym niemieckie działo samobieżne).

Czołg pojechał, a ja, wracając do domu, ujrzałem raptem na drodze pomiędzy Furmanowem a Wielką Wsią, biegnącej od Wielkiego Niekłania do Wólki Zychowej i dalej do Ruskiego Brodu, masę wszelkiego rodzaju pojazdów mechanicznych i konnych, czego jeszcze przed kwadransiem nie było. Nagle słyszę warkot nadlatujących samolotów od strony nadciągającego frontu. Na niskiej wysokości lecą ich dziesiątki... Początkowo myślałem nawet, że to niemieckie samoloty. Samoloty były jednakże radzieckie, a niemieckich w styczniu 1945 r. nie widziałem w ogóle, choć we wrześniu 1939 r. widziałem ich mnóstwo. Kolumna na drodze, słysząc warkot i widząc nadlatujące samoloty, zatrzymuje się. Z pojazdów wyskakują Niemcy i kryją się gdzie tylko mogą. Samoloty jednakże jakby nie widziały kolumny i lecą dalej, w kierunku Ruskiego Brodu, skąd po chwili doniósł się huk bomb i jazgot karabinów maszynowych. A tymczasem huki od wschodu stają się coraz głośniejsze i gwałtowniejsze. Nie było już wątpliwości, że front zbliżał się do Furmanowa...

Wpadam do domu, a tu kompletny rwetes. Co chwila dom wypełnia się Niemcami, Rumunami, Węgrami i kozakami w wysokich czapach barankowych oraz masą różnych

⁶ Jak to znowu po latach ustaliłem, pamiętając jego sylwetkę, był to lekki 23-tonowy czołg PzKpfw III, z armatą kal. 50 mm i 5-osobową załogą, którego produkcję, jako przestarzałego, zaprzestano w 1943 r..

Azjatów. Wszyscy chcą napić się czegoś gorącego i proszą o chleb. Chleba już nie ma, a z ciepłą wodą trudno nastarczyć. Co gorsza, w domu nie można znaleźć wolnego kąta, tak zavalony jest wojskiem. Wszystko też wskazuje na to, że będzie jeszcze gorzej, gdyż kolumna na drodze gęstnieje, pojazdy posuwają się już zamrożonym polem, a w końcu zatrzymują się. Droga, wchodząc w las, została bowiem zakorkowana. A górą bez przerwy płyną dziesiątki samolotów radzieckich w kierunku zachodnim, skąd zaraz dochodzi huk bomb. I tylko patrzeć jak za chwilę zaczną bombardować zatłoczoną drogę i Furmanów, przez który przewalają się niemieckie i sojusznicze wojska. Zbieramy się więc i wynosimy do ojca siostry, mieszkającej w sąsiedniej wsi Wydzierów, za stawem, gdyż tam nie widać żadnych kolumn cofających się Niemców.

I istotnie, tu było spokojnie. Ale wkrótce również i tutaj zaczyna być tłoczno od Niemców i ich sojuszników. Tyle tylko, że jest ich już znacznie mniej niż w Furmanowie, a ponadto poruszają się pieszo, co przynajmniej teoretycznie nie powinno ściągać na nich ataku radzieckich samolotów.

I tak mijają dni. Dookoła nas huczy, ale nie wiemy co się dzieje i dopiero po sześciu dniach od ruszenia frontu, w czwartek 18 stycznia, wczesnym wieczorem, dowiedzieliśmy się coś niecoś jak rozwijały się wydarzenia na froncie, dzięki grupie żołnierzy Wehrmachtu pod dowództwem sierżanta, *Feldwebela*, która zjawiała się u nas. Sierżant, jak się okazało Ślązak, mówił po polsku. Od niego dowiedzieliśmy się więc, że wczoraj Armia Czerwona zdobyła Częstochowę, oddaloną o ok. 120 kilometrów na zachód od nas i że Niemcy znaleźli się w kotle.

Ledwie Niemcy odeszli gdzieś w ciemną noc, a tu dookoła nas rozpętuje się piekło. Blisko domu rozrywa się pocisk artyleryjski, którego huk rzuca nas wszystkich na podłogę i tylko jakimś cudem nie poleciały szyby.

Odtąd już, w krótkich odstępach czasu, zaczęły rozrywać się następne pociski, na szczęście nieco dalej. Wypadam na dwór i widzę jak spod czarnego nieba lecą w dół małe ogniki, a wkrótce potem widzę czerwony gejzer wybuchu pocisków, zapewne radzieckich, nadlatujących od wschodu. Jak to już po latach wiedziałem, był to ogień nękający, dezorganizujący przyfrontowe tyły nieprzyjaciela. Nie bardzo wiemy co robić w tej sytuacji. Padają głosy, żeby uciekać do lasu. Inne, żeby zostać w domu. Wobec tego wszyscy zostają. Ja

wychodzę jeszcze raz z domu. Ciemno, trochę mglisto i wieje mroźny wiatr. Raptem, błysk i huk kolejnego pocisku... Widocznie artyleria radziecka ostrzeliwuje drogę pomiędzy Furmanowem a Wielką Wsią. Po wybuchu pocisku niosą się z oddali ludzkie głosy i rżenie koni... I tak w kółko... Po kilkunastu sekundach, po ponownym wybuchu pocisku, słyszę słabszy huk od strony odległego o ok. 6 kilometrów na wschód Stąporkowa. To zapewne huk działa, które wystrzeliło pocisk. A więc front już blisko...

Ogień artyleryjski na szczęście ustał gdzieś koło północy. Wszyscy idą więc spać, nie zdejmując ubrań. Ale oto, jeszcze przed brzaskiem, w piątek 19 stycznia, zwała się do domu grupa Niemców pod dowództwem podpułkownika. On tylko jeden ubrany jest jak na paradę, w czapce oficerskiej, w wyjściowym mundurze, butach z cholewami i w rozpiętym płaszczu wojskowym. Jego podkomendni zaś, wszyscy są w panterkach, zasnurowanych pod szyję kapturach i filcowych butach. Każdy ma MP43, *Sturmgewehr*, najnowszy niemiecki automat (protoplasta późniejszego Kałasznikowa), obwieszony jest zapasowymi magazynkami na piersiach, a za pasem tkwią „kopyście”, czyli granaty. Chyba też co drugi dźwigał jeszcze *Panzerfaust*, przeciwczołgowy granatnik (nowa i bardzo skuteczna broń na krótki dystans). Żołnierze, sądząc z wyglądu, nie więcej niż dwudziestolatki, jak tylko weszli tak zaraz legli na podłodze, zapadając zaraz w głęboki sen. Tylko jeden z nich, sierżant z radiostacją na plecach (jak to usłyszałem o nazwisku Lang), uchylił nieco okno, wyrzucił na zewnątrz antenę i po ustawieniu radiostacji na stole, wkrótce ją uruchomił. Dowódca tymczasem udał się do drugiej izby, wszystkich prosząc o jej opuszczenie, po czym zdjął płaszcz i zaczął coś mówić do matki i ciotki. Przyszedłem im w sukurs i poprosiłem po niemiecku, żeby powtórzył co chciał. Popatrzył na mnie zdziwiony, ale powtórzył. Prosił o miednicę z ciepłą wodą, wyciągając równocześnie z raportówki przybory do golenia.

Feldfelbel Lang tymczasem odebrał alfabetem Morse’a jakiś meldunek, przepisał jego treść na białą kartkę i zameldował się u dowódcy. Tamten coś mu odpowiedział, Lang stuknął obcasami, powrócił do kuchni, zaszyfrował tekst i następnie wystukał go kluczem na radiostacji. Poza tym, nic godnego uwagi na razie nie działo się.

Wyszedłem na podwórko. U furtki stał żołnierz z lornetą nożycową na trójnogu, pilnie

obserwując skraj Furmanowa od strony Niekłania i zaśnieżone wzniesienie z rozłożoną na nim rzadko zabudowaną Wielką Wsią. Przy płocie leżało dwóch Niemców z lufowym granatnikiem przeciwpancernym, *Panzerschreckiem*, również nową bronią, którą widziałem na zdjęciach w prasie u „naszych” Niemców na kwaterze.

Nagle, od strony skraju lasu tuż nad stawem, szarpnęło powietrzem i rozległ się huk. Niemcy jednak na niego nie zareagowali. Wiedzieli pewnie, że to ich działo rozpoczęło ogień. Istotnie, po kilkunastu sekundach doszedł huk pocisku z kierunku Niekłania. Na drodze przed domem zobaczyłem też rosłego i barczystego Niemca, chyba sierżanta, z 10-strzałowym półautomatycznym karabinem w ręku. Tubalnym głosem wydawał rozkazy niewidocznym nigdzie żołnierzom. I gdyby nie te rozkazy i strzelające co parę minut działo, to panowałyby cisza. Wróciłem do domu. Lang ciągle meldował się dowódcy, który, ogolony i w rozpiętym mundurze, siedział spokojnie przy stole jakby nie był na froncie. Żołnierze dalej chrapali i tak schodziły całe godziny. Nawet dla mnie stało się jasne, że widzę ostatnią niemiecką linię obrony i że gdzieś, pewnie w Niekłaniu, a może w młodym lesie tuż przez drogę, są już krasnoarmiejcy.

Było już po południu, kiedy znów wyszedłem z domu. Niemcy leżący przy przeciwpancernicy, mimo zimna i ciągle strzelającego działa, drzemali. Drzemał też obserwator przy lornecie nożycowej. Zniknął również wrzeszczący sierżant na drodze.

Ale oto, jakieś półtora kilometra od nas, widzę jak po poboczu wzniesienia za Wielką Wsią, pełzają trzy ciemne punkty w niewielkim oddaleniu jeden za drugim. Czyżby czołgi?

W tym momencie, obserwator otrząsnął się z drzemki, spojrział przez lornetę w kierunku punktów, złożył błyskawicznie trójnóg i pędem runął do domu.

- *Abmarsch!* - ryknął. Widzę, jak Lang wyrywa antenę z przymkniętego okna i zarzuca radiostację na plecy, a z domu jeden po drugim wysypują się nagle przebudzeni żołnierze. Podpułkownik również wybiega, zapinając w biegu płaszcz i poprawiając czapkę na głowie. Drzemiący dotąd przy przeciwpancernicy na podwórku Niemcy chwytają ją teraz i wszyscy razem biegną w kierunku pobliskiego lasu.

Stoję jak urzeczony tym widowiskiem...

Działo znów huknęło, ale prawie jednocześnie jeden z trzech za Wielką Wsią punkcików

błysnął ogniem. Za chwilę słyszę potworny huk i widzę strzelający w górę słup ognia, dymu i lecące jakieś kawały czegoś. Czołg - jak się potem okazało - trafił w strzelające działo i wóz na gaśnicach z amunicją. Patrzę teraz w stronę Nieklania i widzę jak ukryta dotąd obrona niemiecka na wysypisku szlaki koło „gichty”, na skraju Furmanowa, podrywa się i biegiem cofa.
- *Nie stój tutaj!* - słyszę głos ojca - *chowaj się do piwnicy!*

Teraz dopiero zauważyłem, że cała rodzina pędzi do wejścia do piwnicy w podwórku, obecnej przy każdym wiejskim domu. Pędzę i ja, ale ponieważ wchodziłem do piwnicy ostatni, więc usadowiłem się tuż przy jej otwartych drzwiczkach, mając w polu widzenia część Furmanowa i jeden ze stawów.

Ale oto widzę inną scenę. Tuż nad stawem, po nieczynnym od lat nasypie wąskotorowej kolejki, pędzi zaprzęzona w parę koni wojskowa powózka z wyraźnie widoczną woźnicą. Nagle ginie w obłoku ognia i dymu... Widocznie była pełna amunicji i trafił ją któryś z czołgów za Wielką Wsią (jak po latach to wyczytałem, radzieckie czołgi T-34 były najlepszymi w czasie II wojny światowej, słynąc między innymi z celności ognia swoich armat, zasługa nie tylko ich precyzyjnych celowników, ale i dobrego wyszkolenia załóg).

W chwilę potem rozszalała się gwałtowna strzelanina z erkaemów, automatów i karabinów, przerywana głośnym gdakaniem jakiejś nieznannej mi broni (jak potem okazało się, była to niemiecka zenitówka, strzelająca do nacierających krasnoarmiejców ogniem na wprost).

Widzę też jak strzelający do tyłu Niemcy, pewnie około setki, biegiem wysypują się z Furmanowa i dopadają lasu. Potem zapada absolutna cisza... Po paru minutach jednak widzę dwie postacie, inaczej ubrane niż Niemcy, spokojnie ślizgające się po zamrzniętym stawie, które znikają po chwili w lesie... Jak dowiedziałem się potem, Furmanów został zdobyty przez ... trzech krasnoarmiejców! Jeden z nich, na zdobytej powózce pełnej trunków, powrócił ze zdobyczą do Nieklania, a dwóch pozostałych kontynuowało atak.

Czyżby było już po wszystkim? Trudno w to uwierzyć! Były przecież tysiące Niemców w ostatnich dniach, a i ostatnia linia ich obrony liczyła setki żołnierzy. A tu trzech krasnoarmiejców i oddalone o niecałe dwa kilometry trzy czołgi zakończyć miały zwycięski bój?

Nieprawdopodobne! Wskakuję więc z piwnicy i wraz z bratem i kuzynem pędzimy

drogą do Furmanowa. Niedaleko mostu, który parę dni temu forsował czołg, widzę zabitego Niemca. Nie zatrzymujemy się jednak i pędzimy dalej. Ktoś gdzieś strzelił, kula gwizdnęła koło nas, ale my pędzimy co sił. I oto nagle widzę młodego oficera radzieckiego (szarż radzieckich jeszcze nie znałem). W długim szynelu, koloru przypominającego polski płaszcz oficerski, w barankowej czapce z czerwoną gwiazdą na głowie, z naganem w kaburze i mapnikiem u pasa, idącego w asyście młodego żołnierza w białym kożuszku i walonkach. Żołnierz, wyglądający na Gruzina, ma na ramieniu zawieszony krótki karabinek ze składanym bagnetem, dobrze mi znanym z późniejszych lat kbk wzór 1944. Jak to, idą sobie jakby nigdy nic i nie boją się, że z lasu lada chwila mogą wypaść Niemcy?

Widocznie nie bali się i po chwili gdzieś mi z oczu zniknęli. Myślałem, że za chwilę zwałą się tutaj czołgi, działa, piechota zmotoryzowana, tabory, kuchnie, sanitarki, a tu nic! Tylko kiedy już ściemniło się, zjawił się jakiś młody i podpity krasnoarmiejec, który miał tylko... owinięty w gazetę fiński nóż w kieszeni!

Widząc taką „siłę” uważałem, że lada chwila zobaczę Niemców. Tym bardziej, że gwałtowna i jakby zbliżająca się od zachodu strzelanina jakby się wzmogła. Niemcy jednak nie wypadli z lasu. Ściemniło się tymczasem i tylko na zachód od Furmanowa słychać było huki i widać było łuny pożarów, które rozjaśniały bezksiężycową noc.

Nie mogłem też jakoś uwierzyć, że dla mnie i wielu Polaków na ziemi radomsko-kieleckiej skończyła się już wojna i że zaczęło się nowe życie. Jeśli tylko coś w tym wszystkim mnie trapiło, to opinia o „bardzo potężnej” Armii Czerwonej, jak to słyszałem od samych Niemców. Gdzież była owa potęga? Nic takiego nie widziałem, poza chmarami samolotów przed paroma dniami, ale gdzie są wojska lądowe?

Dopiero w dwa dni później, gdy pobiegłem do lasu za wieś Boków, żeby zobaczyć drogę przez las do Ruskiego Brodu, o której ludzie cuda o opowiadali, zmieniłem zdanie. Droga leśna, na całej szerokości i długości ok. 5 kilometrów, była jednym wielkim kłębówiskiem pojazdów mechanicznych i konnych, z niezliczonymi trupami Niemców i koni. Wiele zwęglonych ciał siedziało na ławkach w skrzyniach ciężarówek... Inne były w szoferkach i samochodach osobowych. Setki, jeśli nie tysiące trupów wałało się również pomiędzy drzewami w pobliżu

drogi. Zabitych zaś krasnoarmiejców ledwie można było policzyć na palcach jednej ręki... Masakry dokonały - jak mówili okoliczni chłopci - głównie samoloty, czołgi, a potem jeszcze piechota radziecka.

Widząc to wszystko, nie miałem już wątpliwości, że Armia Czerwona była naprawdę *olbrzymią* potęgą. Dotąd, po bitwie partyzantów pod Grodziskiem-Radoszycami, wydawało mi się, że nie było siły nad Armię Krajową, a dowódcy jej oddziałów, jak „Szary”, byli największymi w świecie dowódcami.

Po tym jednak co zobaczyłem, nie byłem już tego pewny. Teraz dopiero dotarło do mnie, że do wojowania potrzebne było coś więcej niż brawura i erkaemy. Potrzebne były samoloty, czołgi i działa. I to w dużej ilości, a tych polscy partyzanci nie mieli... A kiedy jeszcze wraz z upływem lat coraz więcej dowiadywałem się o wielkich bataliach II wojny światowej, to coraz bardziej byłem przekonany, iż *tylko* wielkie mocarstwa mogą prowadzić zwycięską wojnę. Małe kraje, takie jak Polska, w wielkich wojnach nie mają *żadnych* szans. Chyba, że są w sojuszu z wielkimi mocarstwami. A że Polsce taki wielki sojusznik „przytrafił się” pod koniec wojny i że był nim akurat ZSRR, to już co innego.

24 – 26 stycznia 2006 r.

W międzyczasie, co z inicjatywy Liwii (na jej macierzystym *University of Pennsylvania* wybrano ją prezydentem IRUSA, *International Relations Undergraduate Student Association*) było już zaplanowane wcześniej, we wtorek rano 24 stycznia pojechaliśmy naszym samochodem z Niunią i Ewą za kierownicą do Filadelfii. Tego dnia wieczorem bowiem miałem wygłosić w auli uniwersyteckiej im. John M. Huntsmana pogadankę pt. *The Cold War from Behind the Iron Curtain: Memoirs of a Polish Diplomat*. Słuchacze mieli składać się z członków IRUSA, Polish Club oraz studentów z kursu prof. Ronalda J. Granieri’ego, łącznie kilkadziesiąt osób.

Po przybyciu na miejsce, zjedliśmy wraz z Liwią obiad w znanej nam już z poprzednich pobytów restauracji *White Dog*, a następnie Ewa podwiozła mnie z Niunią do hotelu, sama zaś pojechała z Liwią na zakupy. Wczesnym wieczorem podjechała pod hotel zabrać nas na wspomniane powyżej spotkanie.

Kiedy sala już wypełniła się, Liwia wygłosiła krótkie przemówienie wprowadzające, charakteryzując krótko moją sylwetkę i udzielając mi na koniec głos. Przyznam, co zresztą już na wstępie powiedziałem, że byłem niezwykle wzruszony faktem, że oto moja wnuczka udzielała mi głosu!

Odnośnie mojego wystąpienia, to maksymalnie ograniczając się do jego najważniejszych tez, powiedziałem mniej więcej co następuje:

- Tzw. zimna wojna, najdłuższa ze wszystkich wojen w XX stuleciu, ma *niejasny* początek i koniec. Nieprawdą jest też - jak to twierdzi James Woolsey, b. dyrektor CIA, że zimna wojna była III wojną światową i że USA ją wygrały.

Za początek zimnej wojny - określenie to ukuł Herbert Bayard Swope, dziennikarz New York Herald Tribune, a rozpropagował je w świecie znany amerykański komentator Walter Lipmann - uważa się powszechnie przemówienie Winstona Churchilla z 5 marca 1946 r., wygłoszone w Westminster College w Fulton w stanie Missouri w obecności prezydenta USA Harry Trumana. Wspomniałem, że niektóre źródła podają także inne daty wybuchu zimnej wojny. Od siebie zaś dodałem, że w moim przekonaniu datą wybuchu zimnej wojny równie dobrze może być rozmowa prezydenta Trumana z radzieckim ministrem spraw zagranicznych Wiaczesławem Mołotowym, odbyta wieczorem 22 kwietnia 1945 r. w Białym Domu. W czasie tej rozmowy bowiem, prezydent Truman, w ostrych słowach, zgał podpisaną dzień wcześniej w Moskwie traktat pomiędzy ZSRR a polskim rządem lubelskim, co było *niezgodne* z jałtańskimi porozumieniami. Mołotow wykazał wtedy irytację stanowiskiem Trumana, co mu w oczy powiedział i co było niewątpliwie *pierwszym* od prawie czterech lat poważnym zgrzytem w stosunkach amerykańsko-radzieckich.

Tak jak niejasny jest początek zimnej wojny - kontynuowałem dalej - tak samo niejasny jest również jej koniec. Prezydent Reagan na przykład, za jej koniec uważał końcowe miesiące 1988 r. Gen. Brent Scowcroft, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego prezydentów Forda i Busha 41-go, za koniec zimnej wojny uznaje z kolei upadek muru berlińskiego w dn. 9 listopada 1989 r. Jeszcze inni za koniec zimnej wojny uważają szczyt maltański Bush-Gorbaczow, odbyty w dniach 2-3 grudnia tegoż roku. W rzeczywistości jednak, za koniec zimnej

wojny - stwierdziłem - należy uznać nieformalny szczyt Bush-Jelcyn, odbyty w Camp David w dn. 1 lutego 1990 r. Tam bowiem Jelcyn zapytał wprost Busha “*czy jesteśmy nadal przeciwnikami?*”. A słysząc w odpowiedzi, że “*nie, nie jesteśmy*” mógł on, a z nim cały świat, uważać słowa Busha za koniec zimnej wojny.

Inna rzecz, że tego samego dnia, na wspólnej z prezydentem Bushem konferencji prasowej, Jelcyn powiedział rzeczy wielce zastanawiające, a mianowicie, że jeśli Rosji nie udadzą się reformy (nikt wtedy nie wiedział co to były za reformy), to nastąpi nawrót do zimnej wojny, która *przejdzie* w „gorącą”!

Następnie powiedziałem, że w przeciwieństwie do rozpowszechnionego w USA poglądu, zgadzam się z opinią Anatolija Dobrynina, b. wieloletniego ambasadora ZSRR w USA, który w swoich pamiętnikach pt. *In Confidence*, napisanych dziesięć lat wcześniej, stwierdził, że z zimnej wojny *nikt* nie wyszedł zwycięsko.

Nie należy bowiem zapominać - mówiłem dalej - że o ile zimna wojna nie przerosła w „gorącą”, to tylko dzięki temu, że oba supermocarstwa nie były pewne swojego zwycięstwa ze względu na jej więcej niż pewny *nuklearny* charakter. Dowodem tego był kryzys kubański z października 1962 r., kiedy to USA *zrezygnowały* z użycia siły wobec ZSRR. Również ZSRR jakoś nie zdobył się na wojnę z USA, choć jego siły zbrojne, przeprowadzając gigantyczne manewry wojskowe w czerwcu 1982 r., symulowały jej *tylko* 7-godzinny i zwycięski przebieg. Widocznie jednak całkowitej pewności nie miano w Moskwie i stąd do wojny nie doszło.

Pomijając już szereg innych moich tez, cóż to za koniec zimnej wojny - retorycznie zapytałem - skoro zarówno USA jak i Rosja mają w *ciągłym* pogotowiu bojowym po ponad 4 tysiące głowic nuklearnych! A do uczynienia USA krajem *niezdolnym* do egzystencji wystarczy - jak twierdzi rosyjski generał Władimir Bielous – „tylko” dwadzieścia pięć takich głowic!

W swoje wystąpienie wplotłem też wątki czysto osobiste, jak na przykład co pchnęło mnie do decyzji zerwania z moją przeszłością i zwrócenia się do USA o azyl polityczny.

Na zakończenie dodałem, że zniknięcie ZSRR jest prawdopodobnie jakimś strategicznym oszustwem, *strategic deception*, zgodnie z naukami starożytnego stratega chińskiego Sun-Tzu, który zalecał, że „*kiedy jesteś silny, udawaj słabego, a kiedy jesteś blisko przeciwnika, udawaj,*

że jesteś daleko... Gdy tak będziesz postępował – zwyciężysz”...

I Rosja tak właśnie dziś postępuje. Udało się jej *odwrócić* uwagę USA od siebie i skierować ją na Średni Wschód, swoje zaś strategiczne siły nuklearne nadal rozwija, a ponadto rozporządza antyrakietową obroną, której USA nie ma.

Moje wystąpienie - sądząc z oklasków - zostało gorąco przyjęte przez słuchaczy. Potem nastąpiły jeszcze pytania, na które odpowiadałem, choć od niektórych, jak w sprawie wojny z Irakiem, wykręciłem się, nie chcąc zbacać z głównego tematu.

Następnie trochę porozmawiałem z prof. Granierim, jak też z obecnymi na sali Polakami, bardzo zresztą miłymi. Potem poszliśmy w czwórkę na kolację do znanej nam z poprzednich pobytów pizzerii. Najwięcej cieszyło mnie, że Liwii bardzo podobało się moje wystąpienie, a prawdę mówiąc obawiałem się, że padną z sali jakieś prowokacyjne pytania, z którymi co prawda umiałbym się rozprawić, ale mogłoby to niekorzystnie odbić się na jej stosunkach z uczelnianym środowiskiem. Po kolacji Ewa odwiozła nas do hotelu, a sama powróciła z Liwią do jej pokoju, gdzie miała spędzić noc.

W dniu następnym, środę 25 stycznia rano, Ewa przyjechała po nas do hotelu, z którego wymeldowaliśmy się i razem pojechaliśmy do Liwii, żeby wspólnie w jakimś barze zjeść śniadanie, a zaraz potem udać się w drogę powrotną do domu.

2 lutego 2006 r.

Nareszcie mam okazję napisania czegoś o sprawach krajowych, którym ze względów wspomnianych w innym miejscu, od miesięcy nie poświęcałem uwagi. Teraz jednak muszę zaistniałą lukę choćby częściowo wypełnić, gdyż na całkowite jej wypełnienie, jako że jest zbyt ogromna, musiałbym poświęcić parę rozdziałów, a nie kilkanaście stron. W międzyczasie zresztą z zachodzących w Polsce wydarzeń nie spuszczałem z oka, komentując je w każdy czwartek tygodnia w polonijnym radio, ale prawdą jest także, że miesiącami o nich nie pisałem.

Zacznę od dzisiejszego wydarzenia, jakim było podpisanie w Warszawie przez trzy partie Paktu Stabilizacyjnego na okres dwunastu miesięcy, który, jeśli wytrzyma próbę czasu, uchroni kraj przed przedterminowymi wyborami do Zgromadzenia Narodowego. W przeciwnym

przypadku będą one możliwe już wkrótce, prawdopodobnie 26 marca.

Partiami-sygnatariuszami Paktu są PiS (Prawo i Sprawiedliwość), partia aktualnie sprawująca mniejszościowe rządy, populistyczna ruch-partia Samoobrona i narodowo-katolicka partia LPR (Liga Polskich Rodzin).

Pakt, coś jakby koalicja trzech partii, choć ani Samoobrona ani LPR do rządu nie weszły (nie chciał tego PiS), zasługuje na szczególną uwagę. Jest on bowiem wydarzeniem politycznym *nieznanym* w polskiej historii i stąd wynikające z niego konsekwencje są dziś trudne do przewidzenia. Pakt, ewidentnie typowa prowizorka, może mieć bądź dłuższy niż roczny bądź bardzo krótki żywot. W przypadku tej drugiej możliwości, przedterminowe wybory są wtedy pewne, ale wynik ich, podobnie jak frekwencja, mogą być niespodzianką dla *wszystkich* sił politycznych w Polsce.

Co się tyczy ostatnich wyborów parlamentarnych z 25 września 2005 r., piątych z kolei w III RP, to były one pierwszymi, po których niemal zaraz zaczęto mówić o konieczności następnych, przedterminowych i to możliwie już wiosną 2006 r. Odpowiedź na pytanie, dlaczego przedterminowe wybory jest złożona, ale przynajmniej o niektórych powodach ciągłot poniektórych partii do takich wyborów należy wspomnieć.

Po raz *pierwszy* w historii Polski, wybory w 2005 r. miały wyłonić zarówno nowe Zgromadzenie Narodowe, jak i nowego prezydenta. W istniejącej sytuacji krajowej, charakteryzującej się udużwioną sceną polityczną, fakt ten miał *fatalne* skutki. Przedwyborcza scena polityczna tak bowiem ukształtowała się, że sprawująca rządy w latach 2001-2005 lewica, dodatkowo wzmocniona wywodzącym się z jej szeregów prezydentem, stanęła z góry na *przegranej* pozycji. Przejmując w spuściznie po rządach AWS kryzysową sytuację społeczno-gospodarczą, zaczęła od początku tracić zdobyte w wyborach poparcie, którego nie odrobiły już jej późniejsze osiągnięcia na tym odcinku. Przyszły one za późno, a ponadto kosztem pogłębienia się kryzysowej sytuacji finansów państwa. Wreszcie, masa wszelkiego rodzaju afer stworzyła wrażenie, iż państwo pod rządami SLD (Sojuszu Lewicy Demokratycznej) i jego koalicjanta UP (Unii Pracy), gdyż trzeci koalicjant, czyli PSL (Polskie Stronnictwo Ludowe), już wcześniej uskoczył na bok, znalazło się w stanie rozkładu. Wizerunkowi SLD nie pomogły też

nie najlepsze stosunki wzajemne pomiędzy premierem Leszkiem Millerem a prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim. Gwoździem zaś do trumny SLD był bunt jego części, która pod przywództwem Marka Borowskiego opuściła jego szeregi, tworząc nową lewicową partię, SDPL (Socjaldemokrację Polski). SDPL co więcej, przejawiała też chęć wystawienia swojego kandydata na urząd prezydencki, a nie poparcia kandydata SLD.

W efekcie tego, kandydaci „dwóch lewic”, gdyż SLD, idąc ze swoją listą do wyborów parlamentarnych nie zrezygnowała z wystawienia swojego kandydata w wyborach prezydenckich, nie tylko musieli zmierzyć się z nielewicowymi kandydatami w obu wyborach, ale także sami między sobą. W tych okolicznościach, rzecz jasna, rozbita lewica nie tylko nie miała szans na zwycięstwo w parlamentarnych i prezydenckich wyborach, ale nawet na zajęcie w nich liczącego się miejsca. We wrześniowych wyborach do Zgromadzenia Narodowego, SLD zdobył dopiero czwarte miejsce, ustępując w nich nie tylko PiS i PO, ale nawet Samoobronie, uzyskując tylko 56 mandatów poselskich, niemal 3-krotnie mniej od zwycięskiego PiS. SDPL z kolei nie przekroczyła 5-procentowego progu i do Zgromadzenia Narodowego nie weszła.

Co gorsza, w wyborach prezydenckich SLD dość długo nie mógł zdecydować się z wystawieniem własnego kandydata, ale kiedy w końcu to uczynił, wystawiając Włodzimierza Cimoszewicza, to wskutek rozpętanej przeciwko niemu nagonki zrezygnował on z dalszego udziału w kampanii wyborczej. Marek Borowski zaś, prezydencki kandydat SDPL, w I turze wyborów zdobył tylko nieco ponad 10 procent głosów i tym samym nie przeszedł do II tury.

W rezultacie takiego przebiegu wyborów, podzielona lewica utraciła jakkolwiek szansę utrzymania w swoich rękach dzierżonego przez dziesięć lat urzędu prezydenckiego, podczas gdy w Zgromadzeniu Narodowym (i to jedynie SLD) zajęła miejsce o marginalnym znaczeniu.

Siłą rzeczy więc, zwycięstwo, zarówno w wyborach do Zgromadzenia Narodowego jak i prezydenckich, musiało przypaść komuś innemu. Pod nieobecność silnej partii centrowej, gdyż nowopowstała PD (Partia Demokratyczna), w obu wyborach nie liczyła się, a niewiele też liczyło się względnie centrowe, ale słabnące od lat PSL. Walka o wyborcze zwycięstwo, formalnie rozgrywana w „partyjnym sześcioboku”, rozegrała się w efekcie tego pomiędzy tylko dwoma *prawicowymi* partiami, PO (Platformą Obywatelską) oraz PiS (Prawem i

Sprawiedliwością), narodzonymi dopiero w ostatnim pięcioleciu. Obie partie miały mniej więcej jednakowe szanse na zdobycie największej ilości mandatów w Zgromadzeniu Narodowym oraz wygranie urzędu prezydenckiego. Pozostałe zaś cztery partie, które weszły do Sejmu, a mianowicie Samoobrona, SLD, LPR i PSL, nie mogły nawet marzyć o wygraniu prezydenckich wyborów. Co najwyżej niektóre z nich mogły ewentualnie zostać koalicjantem zwycięzców.

W takim układzie sił wydawało się zatem logiczne, że skoro w obu wyborach największą rolę odegrają PO i PiS (sondaże opinii publicznej dawały więcej szans PO niż PiS), choć żadna z obu partii nie mogła liczyć na zdobycie większości w Sejmie, ale każda z nich mogła liczyć na zdobycie urzędu prezydenckiego, to obie partie *powinny* być zainteresowane w utworzeniu wyborczej koalicji, a w ostateczności powyborczej, choć i wtedy, jak pokazało to doświadczenie, koalicja nie miałaby większości 2/3 w Sejmie, koniecznej do rewizji Konstytucji i musiałaby poszukać jeszcze jednego koalicjanta.

Do wyborczej koalicji jednak nie doszło i PiS wraz z PO, które przed wyborami były w opozycji w stosunku do rządzącej lewicy, zamiast sojusznikami stały się przeciwnikami. I to pomimo, że o „koalicji POPIS” mówiono przed wyborami jako już prawie przesądzonej. Prawda, istniejące pomiędzy obu partiami różnice ideologiczno-polityczne były niebagatelne, gdyż o wiele bardziej liberalna PO była zwolennikiem kontynuowania obranego przez III RP modelu przekształceń ustrojowych, podczas gdy bardziej konserwatywny PiS zapowiadał bliżej nieokreślone odejście od tych przekształceń oraz budowę IV RP, w swojej treści *przeciwstawną* III RP. Tym niemniej, przewyciężenie dzielących obie partie różnic wydawało się możliwe przy odrobinie dobrej woli stron i ich odpowiedzialności za losy kraju.

Tego obu partiom brakło. Jeszcze przed rozpoczęciem kampanii wyborczej różnice pomiędzy obu partiami nie tylko nie zaczęły znikać, ale pogłębiły się. Na ile powodem tego były tylko różnice ideologiczno-polityczne, a na ile wzajemna antypatia przywódców obu partii czy wreszcie podszepty z boku sił zewnętrznych, zwłaszcza rosyjskiej „tajnej pajęczyny”, nie jest jasne. Faktem jest natomiast, że perspektywa stworzenia koalicji PO-PiS zaciemniła się po tym jak PiS pierwszy zgłosił Lecha Kaczyńskiego jako swojego kandydata na urząd prezydencki. Na urząd ten przymierzała się także PO. A ponieważ wybory prezydenckie miały odbyć się po

parlamentarnych, więc dla PiS stało się żywotnie ważne ich wygranie, gdyż jego zwycięstwo w parlamentarnych wyborach wydawało się mniej prawdopodobne. Co więcej, PiS nie bez podstaw uważał swoją przegraną w wyborach parlamentarnych za zapowiedź przegranej także w wyborach prezydenckich, w których PO wystawiła jako swojego kandydata Donalda Tuska, przywódcę partii. Było więc do przewidzenia, że dwaj potencjalni koalicjanci, stając oddzielnie w szranki wyborcze, mogli już tylko poróżnić się i tym samym *zaprzepaścić* szanse przyszłej współpracy między sobą w utworzeniu rządzącej koalicji.

Pozostawiając na uboczu przebieg kampanii wyborczej do Zgromadzenia Narodowego, wynik głosowania, przy niezwykle słabej frekwencji (wyniosła niewiele ponad 40 procent), dał *niespodziewane* zwycięstwo PiS, prawie 27 proc. oddanych głosów. W przeliczeniu na poselskie mandaty PiS zdobył ich 155, a PO odpowiednio nieco ponad 24 proc. głosów i 133 mandaty.

Stało się więc jasne, że ani zwycięski PiS, ani tym bardziej PO, nie mogły liczyć na samodzielne stworzenie rządu większościowego, który w Sejmie musiałby mieć co najmniej 231 głosów. Obie partie wspólnie mogłyby mieć daleko powyżej zwykłej większości w Sejmie, ale wtedy brakło by im co najmniej 17-u głosów, żeby mieć większość 2/3 głosów dla dokonywania zmian w Konstytucji. W pojedynkę natomiast, już *żadna* z obu partii nie mogłaby rządzić, ale w nieco lepszej sytuacji znalazł się mimo wszystko PiS. Teoretycznie przynajmniej, spośród sześciu partii, które weszły do Sejmu, PiS mógł wejść w koalicję z Samoobroną, LPR i PSL, co gwarantowałoby mu zwykłą i bezpieczną większość w Sejmie.

PO dla odmiany, poprzez wykluczenie z góry koalicji z Samoobroną, LPR i SLD, nie może liczyć choćby tylko na zwykłą większość w Sejmie, nawet w koalicji z PSL (25 mandatów) i mniejszością niemiecką (2 mandaty),.

PiS w tej nowopowstałej sytuacji, ani więc myślał o rezygnacji z ubiegania się o urząd prezydencki i o wsparciu kandydata PO. Przeciwnie, nasilił kampanię wyborczą na rzecz swojego kandydata, a to tylko pogłębiło jego niesnaski z PO, potencjalnym koalicjantem. PiS prezydenckich wyborów 9 października 2005 r. (przy frekwencji niecałych 50 proc.) co prawda nie wygrał, gdyż zwycięsko z nich wyszedł Donald Tusk, ale zdobył on tylko nieco ponad 36 proc. głosów (Lech Kaczyński 33,1 proc. głosów). Ponieważ żaden z prezydenckich kandydatów

nie zdobył wymaganej połowy głosów, więc 24 października doszło do II tury wyborów prezydenckich. Przerwę między turami zρέcznie wykorzystał PiS, dokonując chytrego posunięcia ze zgłoszeniem swojego kandydata na premiera. Nie był nim jego przywódca Jarosław Kaczyński, ale Kazimierz Marcinkiewicz, mało znany działacz PiS. Krok ten niewątpliwie *zwiększył* szanse zwycięstwa Lecha Kaczyńskiego w II turze wyborów prezydenckich, Wyborcy bowiem, nie musząc głosować na bliźniaczych braci na najwyższe urzędy w państwie, mieli teraz rozwiązane ręce. W wyniku tego Lech Kaczyński (przy frekwencji prawie 51 procent) uzyskał nieco ponad 54 proc. głosów, podczas gdy Donald Tusk tylko niecałe 50 procent.

Zwycięstwo PiS nad PO na obu frontach pogrzebało - jak się okazało - możliwość nie tylko stworzenia rządzącej koalicji przez obie partie, ale jeszcze niebywale zaogniło spór między nimi. Względnie przyjazne kiedyś stosunki między obu partiami stały się teraz wręcz wrogie. Konkretnych przykładów tego nie warto już cytować, gdyż nie najlepiej świadczą one o kulturze polskich polityków i ich odpowiedzialności za losy kraju.

Nie mogę więc powstrzymać się od przytoczenia pozytywnie zakończonej kontestacji wyborczej w Niemczech.

Otóż, 18 września 2005 r., odbyły się w Niemczech wybory parlamentarne (powszechnych wyborów prezydenta tam nie ma). Rządząca socjaldemokracja SPD, w koalicji z partią Zielonych, wybory nieznacznie przegrała. Zwycięska z kolei chrześcijańska demokracja CDU-CSU, nawet w koalicji z FDP (Wolnymi Demokratami), nie miała jednak szans na stworzenie rządu większościowego. Alternatywą były więc bądź nowe wybory, które mogły powtórzyć wyniki poprzednich, bądź stworzenie „wielkiej koalicji” CDU/CSU-SPD, podobnie jak to było w latach 1969-1973. Obie konkurujące o władzę partie wybrały to drugie rozwiązanie i 22 listopada 2005 r. Angela Merkel, przywódczyni CDU/CSU, została zaprzysiężona jako kanclerz rządu „wielkiej koalicji”. W Niemczech zatem, lewica i prawica, znalazły wspólny język i rządzą krajem. W Polsce prawica z prawicą nie tylko nie może znaleźć wspólnego języka, ale jeszcze wzajemnie go sobie pokazuje!

Czy Pakt jest może zwiastunem, jeśli już nie rocznego ustabilizowania polskiej sceny politycznej, to przynajmniej jej uspokojenia?

Na to pytanie - powtarzając jeszcze raz - nie można odpowiedzieć.

Idea Paktu, pomysł PiS, została bowiem poprzedzona wyraźnym jego parciem na *przedterminowe* wybory, które może mogłyby dać mu większość w Sejmie. Jeśli istotnie niektóre sondaże opinii publicznej sprawdziłyby się, to w maksymalnie korzystnym dla PiS wariantcie mógłby on nie tylko jeszcze raz zwyciężyć, ale otrzymać 38 procent głosów, co równałoby się 247 mandatów (zwykła większość w Sejmie wynosi 231 głosów).

Nic dziwnego więc, że PiS, mając taką perspektywę zwycięstwa, zaczął przeć na przedterminowe wybory. Pretekstem do nich miałyby być nie przyjęcie w terminie przez Zgromadzenie Narodowe budżetu państwa. Zgodnie z Konstytucją, projekt budżetu rządu powinien być przyjęty przez Sejm i Senat w ciągu czterech miesięcy od jego złożenia. Poprzedni rząd lewicowy Marka Belki projekt taki złożył 30 września 2005 r., czyli prezydent powinien dostać do podpisu uchwalony przez Zgromadzenie Narodowe budżet najpóźniej 30 stycznia 2006 r. W chwili pisania niniejszych słów, projekt budżetu, przegłosowany przez Sejm 24 stycznia, trafił następnie do Senatu, który zapewne wniesie do niego jakieś poprawki, a potem znów powróci do Sejmu. W ten sposób przewidziany Konstytucją 4-miesięczny termin uchwalenia projektu budżetu *nie został* dotrzymany. Prezydent ma więc prawo, choć tego *nie musi* czynić, rozwiązać Zgromadzenie Narodowe i w ciągu 45 dni zarządzić nowe wybory. Rzecz tylko w tym, że w pojęciu wielu posłów, może nawet większości, za datę złożenia projektu budżetu należy uważać nie 30 września, a 19 października 2005 r., kiedy to nowo wybrany rząd złożył go w nowo wybranym Zgromadzeniu Narodowym. Jeśli tak, to prezydent może otrzymać zatwierdzony budżet 19 lutego br.

Jakkolwiek z tymi datami nie będzie, faktem jest, że widmo rozwiązania parlamentu przez prezydenta z powodu budżetu stało się tematem dnia i w sposób zasadniczy zaważyło na zawarciu Paktu. Według bowiem niektórych sondaży, w nowych wyborach parlamentarnych mogłyby przepaść PSL, LPR, a może nawet Samoobrona.

Na ile Samoobrona i LPR uwierzyły w te prognozy trudno stwierdzić, ale wydaje się, iż wystraszyły się one przedterminowych wyborów i poszły na podyktowany im Pakt przez PiS. Sam zaś akt jego podpisania był kuriozalny i godny odnotowania. Sygnatariusze powiadomili

bowiem środki masowego przekazu o mającym nastąpić podpisaniu Paktu, ale kiedy liczni ich przedstawiciele przybyli na miejsce, to okazało się, że został on już ...wcześniej podpisany w obecności Radia Maryja, telewizji Trwam i Naszego Dziennika, należących do redemptorysty o. Tadeusza Rydzyka! Przybyli dziennikarze i kamerzyści zaproszonych środków masowego przekazu, po zorientowaniu się w sprawionej im niespodziance, odmówili udziału w widowisku, jakim miało być *powtórne* podpisanie Paktu w ich obecności.

Na samym więc początku tej dość osobliwej „paktowej koalicji” doszło do *naruszenia* zasady równego traktowania wszystkich krajowych środków masowego przekazu przez sygnatariuszy Paktu. W ten sposób paktowcy narazili się niekościelnym środkiem masowego przekazu, co może ich drogo kosztować.

Na tym nie koniec. W fazie negocjowania Paktu, którego sfinalizowanie nie było wcale pewne, bardzo aktywnie zaangażowała się część hierarchii kościelnej, w pierwszym rzędzie arcybiskup Sławoj Leszek Głódź, przewodniczący Zespołu Duszpasterskiej Troski o Radio Maryja. Bojąc się, że przedterminowe wybory mogą nie przebiec zgodnie z sondażami i że skorzystać może na nich lewica, arcybiskup podobno pogodził niedoszłych paktowców.

Czy Samoobrona i LPR nie będą mieć jednak jakichś refleksji odnośnie podpisanego cyrografu - nie ma pewności. Podpisując Pakt obie partie z góry zobowiązały się do poparcia ok. 140 aktów prawnych autorstwa PiS, który ich ostatecznej wersji jeszcze nie przygotował. Stąd *nie jest* wykluczone, że Samoobrona i LPR mogą w którymś miejscu wycofać się z Paktu. Ale *nie jest* też wykluczone, że PiS wywinie jakąś sztuczkę, która Samoobronę i LPR zmusi do wyjścia z Paktu i tym samym ich kompromitacji w oczach przyszłych wyborców.

Ciekawe więc będą następne dni i tygodnie na polskiej scenie politycznej.